



ZAKLĘCIE NA WIATR

PAULINA KUZAWIŃSKA

Z podziękowaniem dla Darii.

1.

Wieczorna mgła zaczynała wypełzać z namorzynów. Gasiła krwisty odbłask fal, które barwiło słońce ginące za horyzontem. Gwinto Gerk, siedzący na dziobie łodzi, zasępił się na ten widok. Morze, choć leniwie spokojne, przypominało dziś krew i płomień, a skłębione korzenie namorzynów chowające się pod powierzchnią były bardzo zdradliwe. Jak wszyscy ludzie morza Gwinto był człowiekiem przesądnym. Jego los nieraz już zależał od kaprysu żywiołów – nic więc dziwnego, że wypatrywał w nich znaków przyszłości. Tego wieczora miał dodatkowe powody do ponurych przeczuć. Dwóch wioślarzy właśnie wiodło go ku zatoce, w której osiem lat temu niemal stracił życie.

Uważał, że ocalenie było mu wówczas pisane. Miał bowiem do spełnienia ważną misję. Misję, która stała się sensem jego życia. Teraz, gdy pierwszy raz od dawna miał zejść na znajomy ląd, Gwinto spieszył spłacić zadawniony dług wobec swojego wybawcy. A także, na co liczył nawet jeszcze bardziej, ubić interes.

Wsluchiwał się w miarowe, wprawne chlupotanie wiosł, w cichnący świergot moczarowych ptaków i w szmer drzew od strony brzegu. Wciągał głęboko jego zapach: woń mułu, ryb, wieczornych dymów i zroszonych traw. To wszystko sprawiało, że lekkie rozrzewnienie spłynęło mu na pierś. Inaczej zapamiętał to miasteczko, kiedy był w nim ostat-

nim razem, osiem lat temu. Teraz było cichsze. Mroczniejsze. W pewien sposób wymarłe. Domy rybaków wzniesione na palach nie rozbrzmiewały śmiechem, nad wodą nie niosły się tony skocznej muzyki. Jedno z takich drewnianych domostw, dość okazałe i obszerne, należało kiedyś do jego rodziny. To było dawno. Nieopodal, w podobnej siedzibie, mieszkał ktoś, komu Gwinto chciał złożyć wizytę.

Łódź sunęła skrajem namorzynów, tnąc cicho powierzchnię wody i gęstniejącą mgłę. Wreszcie dziób osiadł miękko w wilgotnym piasku, pobielonym plamkami drobnych muszelek. Było tutaj bezpiecznie: w cieniu brzegowych skał, z których szczelin wichry dobywały dziwne jęki, będące źródłem wiary mieszkańców, że miejsce jest nawiedzone. Od nagłych wirów, które tworzyły się u ujścia rzeki, chroniły zarośla.

– Warras, zostań przy łodzi. Tiko pójdzie ze mną.

Mężczyźni wyjmowali z dna czołna nieforemny toboł. Gwinto zarzucił go sobie na plecy i podążył kołyszącym krokiem w stronę leżących nad ziemnymi wałami, okolonych częstokołem zagród. Przeglądały się one w jednej z odnóg Vissli, tworzących pobliską deltę.

Dwaj mężczyźni przeszli po kamiennym mostku, przecinającym jeden z licznych, wijących się kanałów, i podążyli pnącą się dalej ścieżką. Widzieli kilku rybaków oraz wyłaniających się z mgły drobnych myśliwych, którzy na noc zastawiali sidła na moczarach, gdzie budziły się teraz roje błędnych ogników. Ktoś grał w domu na liturii. Z daleka, ponad przyciszonymi głosami wieczornej krzątany, powrotów do domu, powitań i przygotowywanych oraz spożywanych kolacji, płynęła nuda wysokim głosem pieśń.

Gwinto Gerk zatrzymał się przed wysoką furtą zagrody, której szukał. Pociągnął za koniec zwisającego z ogrodzenia sznura, który rozkołysał cynowy dzwonek. Brzęczącym uderzeniem towarzyszyło szczekanie biegających wzdłuż płotu psów – raczej podekscytowane i radosne niż groźne.

– Kto? – odezwał się zza furty młody głos. Do kogokolwiek należał, ten ktoś zbliżył się cicho jak duch. Pytanie było zadane zdecydowanym, prawie podejrzliwym tonem.

– Gwinto Gerk, do usług. Przychodzę do Ravaela.

Cisza.

– Ojca nie ma. Jeszcze nie wrócił.

– Mogę zaczekać. Czy jest Ilena?

Cisza.

– Matka przygotowuje kolację.

– Ja i mój towarzysz chętnie zjedlibyśmy coś ciepłego.

Za furtą przedłużyło się milczenie i Gwinto zastanawiał się, czy chłopiec nie odszedł. Usłyszał jednak skrzypnięcie podnoszonej zasuwki i w bramie otworzyło się niewielkie okienko – trochę niżej, niż Gwinto przypuszczał. Szczupły, niebieskooki dzieciak o falujących, ciemnych włosach i opalonej, osmaganej wiatrem skórze przez chwilę przyglądał mu się badawczo. Gwinto dostrzegł, jak odkłada dziryt zakończony metalowym piórem.

– Jest pan żeglarzem? – zapytał chłopiec.

– Owszem. – Gwinto skinął głową jakby z zastanowieniem.

– Zapytam matki, czy zechce pana ugościć. Może pan powtórzyć swoje imię?

– Gwinto.

– A ten drugi?

– To mój kompan, Tiko. Również żeglarz. Powiedz matce, że przyszedliśmy oddać dług.

Chłopiec zatrzaskał okienko w drewnianej bramie. Długo nie wracał.

– Matka nie przypomina sobie o długu, który ktoś byłby winny mojemu ojcu.

Gwinto się nie poddawał. Morze nauczyło go cierpliwości.

– Może sobie nie przypominać. To było dość dawno temu – wyjaśnił. – Osiem lat. Ale morze jest cierpliwe. Co zabiera jedna fala, inna oddaje.

Dzieciak nie odpowiedział. Gwinto usłyszał, jak znowu się oddała. Po chwili gdzieś w głębi podwórza szybko otworzyły się drzwi. Prędkie kroki zbiegały do furty, niosąc szelest niewieściej sukni.

– Gwidon! – zawołała ciemnowłosa kobieta, szeroko otwierając przejście. Stała na chwilę w bramie i obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, odwzajemniając uważne spojrzenie. Kobieta miała takie jak on, ciemne włosy, które odziedziczył po niej jej dzieciak, i podobnie niebieskie, marzycielskie oczy, które u Gwinta wyblakły od słonych wiatrów i palącego słońca.

Wciąż młoda, dość wysoka i szczupła, chociaż nieco się zaokrągliła. Wieczne cienie odrealniały jej postać. Roześmiała się w mocniejszym podmuchu wiatru, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję. Gwinto uniósł ją wysoko do góry, obrócił się z nią w miejscu i wykręcił podwójny młynek pod ciemniejącym, zalany szkarłatem niebem.

– Jak się miewa moja urocza siostra? Długo kazałaś czekać na siebie, syrenko! Twój mały jest trochę nieufny. To dobra cecha.

– Arionie, to twój wuj, Gwidon. Nie pamiętasz go, byłś całkiem malutki... – Na twarzy kobiety pojawił się rumieniec wzruszenia, który tchnął w jej rysy dziewczęcość i młodość. Oczy miała zaszklone, pierś falującą.

– Mój towarzysz, Tiko. Moja siostra, Ilena. – Gwinto powolnym gestem przedstawił sobie dwoje nieznajomych.

Tiko skinął głową i przekrzywił na niej lekko kapelusz – nie był pewny, czy powinien nadać powitaniu nieco więcej dworności. Ilena dygnęła, po czym przygarnęła ramieniem syna, który przyglądał się obcym bez nieśmiałości.

– Przywitaj się, Arionie.

Chłopiec skłonił się głęboko.

– Nie mówiłaś mi, że mam wuja.

Gwinto zauważył lekkie zakłopotanie Ileny.

– To dlatego, że byłem daleko – wyjaśnił, nachylając się ku dzieciakowi. – Lepiej nie wspominać o tych, którzy są daleko, żeby nie tęsknić. Poza tym podobne rozmowy przynoszą pecha. – Mrugnął do niego spod szerokiego ronda kapelusza.

– Wejźmy do środka – ponagliła Ilena. – To nie jest miejsce na dłuższą rozmowę.

Odwrociła się i w dole ścieżki spostrzegła zbliżającego się człowieka.

– Ojcie! – zawołał Arion, po czym wybiegł na spotkanie mężczyzny w przykurzonej pelerynie.

Ten zatrzymał się. Po chwili uniósł rękę w geście powitania. Gwinto Gerk odwzajemnił jego znak.

– Ravael nadal zajmuje się leczeniem?

Ilena się uśmiechnęła. Na zachodzie gasły ostatnie szkarłatne łuny. Okolicę wypełniała wieczorna bryza, jakby tchnienie ziemi w stronę morza. Patrzyła z czułością, jak jej mąż objął ramieniem syna.

– Za dnia pracują z Arionem w gospodarstwie i doglądają połowów. Wiezorami Ravael pomaga chorym. Czasem wyjeżdża na parę dni do sąsiednich miejscowości w delcie. Gdyby nie to, trudniej by nam się wiodło w ciężkich czasach. Leczy w ukryciu, ale zyskał sobie w okolicy sporą sławę.

– Leczenie ludzi to nie grzech – mruknął Gwinto, wzruszywszy ramionami.

– Wiesz, że król i jego magowie uważają inaczej.

– Ravael ma dar. Zawsze go miał. To moc, która nie wybiera ze względu na stan i wysokość urodzenia. Ona potrafi zrównywać ze sobą ludzi. Poniżej lub wywyższa, kogo chce.

Ilena leciutko westchnęła.

– Daleko nam do królów i magów, Gwidonie. Niewiele się tutaj zmieniło... Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Możemy przetrwać w pokoju tylko jako wspólnota, jeśli będziemy trzymać się wiary i zasad ustanowionych przez naszych przodków. Ty nigdy nie chciałeś tego zaakceptować.

Gwinto Gerk lekko zmarszczył brwi.

– Wierz mi... – mruknął powoli i spojrzał na zbliżającego się przyjaciela. – Możesz tego nie rozumieć, ale nie jestem egoistą. To, co robię, robię bardziej dla innych niż dla siebie. Dla... – przez moment wahał się nad doborem odpowiedniego słowa – ...wspólnoty.

– Wybacz. – Ilena się spieszyła. – Nie chciałam cię urazić.

– Nie uraziłaś.

Jej mąż nadszedł właśnie z ukłonem i Gwinto wyszedł mu naprzeciw. Mężczyźni uściskali się mocno. Przez chwilę poklepywali się po ramionach i wymieniali docinki na temat swojej tuszy, wyglądu oraz odciskających piętno lat. Tkwiło w tym więcej przyobleczonej w ironię serdeczności niż w niejednym spotkaniu rodzinnym. Tak naprawdę obaj byli mężczyznami w sile wieku, chociaż jeśli chodziło o osobisty urok, harmonijność rysów i atletyczną sylwetkę, los zawsze darzył hojniej Raveala. Gwinto o jakby za szerokich, żyłastych ramionach oraz pałakowatych, ciut za krótkich nogach, które burzyły proporcje jego ciała, nie mógł się z nim równać.

Nic dziwnego, że czternaście lat temu Ilena uważała się za najszczęśliwszą dziewczynę na świecie, kiedy śniady, podziwiany w miasteczku chłopak – Raveal – zwrócił na nią uwagę. Tak Gwinto zyskał szwagra, ale stracił najbliższego przyjaciela, a także niepodzielną miłość rozpieszczanej młodszej siostry. Od tamtej pory Ilena żywiła do brata skrywaną urazę. Niechęć i nieufność. Gwinto bowiem kochał morze i pragnął wyruszyć na nie w towarzystwie Raveala, ten jednak – zgodnie z przeczuciami Gwinta – wybrał Ilenę. Gwinto wiedział, że pewnej nocy, jeszcze przed ślubem, kiedy Raveal posiadał jego siostrę, Ilena powiedziała mu, że nie zostanie żoną żeglarsza. Dziewięć miesięcy później, szybciej, niż wskazywałyby na to data wesela, na świat przyszedł rozwrzeszczany, zaśliniony berbec – Arion.

Mój siostrzeniec – pomyślał Gwinto z pewnym zdziwieniem. Dzieciak bardzo wyrósł. Nie widział go w końcu wiele

lat. *Ilena nie będzie zadowolona z tego, co chce powiedzieć dzisiaj jego ojcu* – przemknęło mu przez myśl.

– Pójdę nakryć do stołu – powiedziała kobieta i pocałowała męża w policzek. Odchodząc, rzuciła Gwintowi roześmiane spojrzenie. – Tęskniłam za tobą, braciszku.

Nie mają służącej. Chyba faktycznie powodzi im się gorzej niż przed laty.

Gwinto instynktownie odpowiedział na zapraszający gest Ravaela, do którego kolan łąsiły się psy.

– Chodźmy do środka – rzekł dawny przyjaciel, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Weszli na przestronny podwórzec okolony niedużą stajnią i spichlerzami, które otaczały owocowe drzewa. Usiedli przy niskiej ławie w cieniu szerokiego, otwartego ganku, przed długim drewnianym domem z wysoką dobudówką i spadzi-stymi, krytymi trzciną dachami. Ilena zdążyła zapalić ofiarny kaganek – ogień płonął jako ofiara dla Przedwiecznych przed strzegącym wstępu do domostwa menhirem, który rzucał coraz mocniejszy cień. Znajdowały się na nim znaki bardzo starych ochronnych run. Z domu zaczynał dobiegać apetyczny zapach strawy. Tiko skłonił się lekko i burknął pod nosem, że pójdzie do kuchni sprawdzić, czy pani domu nie potrzebuje w czymś pomocy. Gwinto zerknął kątem oka na Ravaela i skinął głową.

Dwaj mężczyźni milczeli przez chwilę. Sączyli ciężkie wino rozlane przez służącego, który wystraszył się chyba na widok gościa. Patrzyli na migocący święty ogień, wsłuchani w narastający, wieczorny brzęk cykad i rechotanie żab na moczarach, które tworzyły razem oszałamiające crescendo.

– Stanowczo za długo cię nie było, Gwinto – odezwał się Ravael serdecznym głosem, lekko rozgrzanym od wina. – Nie było dnia, żebym się nie zastanawiał, co się z tobą dzieje! Na ogień Przedwiecznych! Musisz opowiedzieć nam o twoich podróżach. Dam głowę, że Arion, jak my wszyscy, nie

będzie mógł się oderwać od twoich opowieści. Powiedziałem mu, żeby przyszykowano dla ciebie i twojego towarzysza dwie najlepsze izby. Wiesz, że tutaj jest twój dom. Zawsze był. Nawet nie przypuszczasz, jak się cieszymy z twojego powrotu!

Gwinto Gerk zerknął na niego spod kapelusza.

– Nie zamierzam zostać, Ravelu – odparł powoli. To była prawda. Planował zabawić tu bardzo krótko. Mimo to z rozkoszą wyciągnął przed siebie nogi, starając się napawać tą ulotną chwilą w miejscu, które właśnie nazwano jego domem.

Ravel lekko uniósł brwi.

– Przybywam z konkretną sprawą – wyjaśnił Gwinto, wzruszywszy ramionami. – Chciałem uściskać siostrę i siostrzeńca, napić się z tobą wina, spłacić mój dług wobec ciebie i... złożyć ci propozycję. – Uniósł kielich i długo przyciskał go do ust.

Ravel uśmiechnął się jakby trochę rozczerowany.

– Nadal nie robisz nic bez przyczyny, prawda? Nie działasz bezinteresownie.

– Dążenie do celu a bezinteresowność to dwie różne sprawy.

– Jaki jest twój cel, Gwinto? Stałeś się bardzo tajemniczy. Co planujesz?

Mężczyzna w kapeluszu milczał przez chwilę. Wlał w gardeo nowy haust wina i otarł usta wierzchem dłoni.

– Wierz mi, nie chcesz wiedzieć tego przed kolacją! – Wyszczerył w nieoczekiwanym uśmiechy wilcze, białe zęby. – Chciałbym pomówić z tobą na osobności, kiedy się posilimy.

– Jeśli chodzi ci o to, co zdarzyło się osiem lat temu...

– Nie tylko o to. – Gwinto Gerk wskazał ruchem podbródka na tobół, który spoczywał u jego stóp. Lekki skurcz przebiegł przez mięsień mocno zarysowanej zuchwy. – Stęskniłem się za wami, stary druhu... – mruknął niewyraźnie, patrząc na zbiegającego po schodach Ariona.

– A my za tobą.

– Matka woła wuja Gwidona i ciebie, ojczy, na kolację – oznajmił chłopiec.

Gwinto wyciągnął szeroką, szorstką dłoń i niepewnie potargał go po włosach, trochę jak ulubionego szczeniaka.

– Podobny do ciebie – szepnął do Ravaela.

Chłopak poprowadził ich do jadalni z suto zastawionym, długim stołem, stojącym przed półokrągłym kominkiem, w którym wesoło trzaskał ogień. Ściany izby zdobiły kolorowe tapiserie i ozdobne łańcuchy wyplatane z trzciny przez Ilenę. W kącie wisiały małe kotwiczki, harpuny i sieci.

Usiedli przy równo ustawionych nakryciach, wśród parujących półmisek i kociołka z zupą rybną, dymiącą i pachnącą aromatycznymi przyprawami. Gwinto i jego towarzyszy zajęli miejsca obok siebie – Ravael siedł obok Ileny, naprzeciw przyjaciela. Arionowi, najmłodszemu przedstawicielowi rodziny, przypadło w ten sposób zaszczytne miejsce u szczytu stołu.

Początkowo jedli prawie w ciszy, brzękając łyżkami o cynowe naczynia. W powietrzu wyczuwało się lekkie napięcie. Tylko Tiko głośno zachwalał wyborne potrawy i mlaskał ze smakiem.

– Tiko ma rację. To najlepsza zupa rybna, jaką jadłem od lat, siostrzyczko – odezwał się Gwinto.

– Cieszę się, że ci smakuje. – Ilena rozpromieniła się i natychmiast zaproponowała dolewkę.

– Matka gotuje najlepiej w miasteczku! – zapewnił tonem znawcy Arion, który od dłuższego czasu obserwował wuja błyszczącymi oczyma.

Gwinto zorientował się dlaczego. Chłopak zauważył przy jego boku lekko wychylającą się spod szaty rękojeść krótkiego miecza. Z przyzwyczajenia nie odpiął broni, zanim usiadł do stołu. Mrugnął do siostrzeńca i zakrył rękojeść.

– Czy miałeś wiele przygód, wuju? – zapytał Arion, ośmielony tym gestem.

– Przygód? – Gwinto zastanowił się, wzruszywszy ramionami. – Zależy, co przez to rozumieć. Ale chyba masz rację. Zdarzyło mi się wiele rzeczy. Widziałem wiele miejsc. Poznałem wielu ludzi.

- Groziły ci niebezpieczeństwa?
- Tak.
- Wielkie?
- Śmiertelne.
- Walczyłeś ze złymi ludźmi?
- Ciągłe to robię.
- Z ludźmi króla?
- Arionie! – zganiła chłopca speszona matka. – Nie zadręczaj wuja. Król nie jest złym człowiekiem! Nie wolno tak mówić. Chłopiec zamilkł tylko na chwilę.
- Słyszałem nieraz, jak ojciec przeklinał poborców podatków. Ludzie króla zabili niedawno włóczęgę przy bagnach. Dręczyli go. Rzucili na niego zakłęcie. A przecież zabraniają ojcu leczyć ludzi...
- Twój ojciec postępuje bardzo szlachetnie – wtrącił się Gwinto. – Ceni pokój bardziej niż walkę i ma rację. Dobrze jest pomagać ludziom, a nie ich zabijać. Osiem lat temu Ravael uratował również moje życie...
- Naprawdę? – Zaintrygowany Arion zamrugał.
- Naprawdę. Wróciłem wówczas z rejsu. Zabawiłem tu parę dni. Pewnego ranka wypłynęliśmy z twoim ojcem małą łodzią, by łowić ryby, tak jak wówczas, gdy byliśmy chłopcami. To była nieduża, ale dobra łódź. Właściwie mały drakkar. Zbudowaliśmy go razem... Wypłynęliśmy dość daleko, kiedy z nieba, w ciągu kilku chwil, spadł na nas biały szkwał. – Gwinto poruszył w powietrzu palcami dłoni. – Rozpętał się sztorm. Ocean spychał nas na skały. Zwijałem żagiel, kiedy wielka fala zmyła mnie z pokładu. Fale kipiały, wiatr huczał, niebo i ocean zmieszały się w jedno i haustami wlewały mi się do gardła. Rozrywało mi płuca. Jakby ogromny wąż morski zaczął nagle wicie się na dnie, burząc wody... Byłem pewien, że umieram, kiedy nagle fala cisnęła mną tak, że zdołałem na chwilę złapać się wystającej skały. Wtedy zobaczyłem, jak twój ojciec, który wcześniej zniknął mi z oczu, stanął na dzio-

bie łodzi i wyciągnął w górę ramiona. Krzyknął coś, rozdzia-
wił usta. I wtedy... pach! – Gwinto głośno klasnął w dłoń.
– Twój ojciec rozłożył ramiona i wypowiedział zaklęcie. Zaklął
pogodę, ot tak, jednym gestem, jednym słowem. Ujrzałem,
jak skłębione chmury rozpierzchnęły się nad jego głową, jak
ławica małych rybek rozpierzchnęła się przed atakującym dra-
pieżką. Powierzchnia wody się wygładziła. To było jak krąg
światłistej fali, która rozchodziła się od twojego ojca. Ta fala
przetoczyła się i wyrównała wzburzony ocean niczym wielki
wałek do ciasta. Niebo zaświeciło niebiesko jak wielki szafir.
Twój ojciec położył się na dziobie łodzi i zaczął wiosłować
w moją stronę. Obaj byliśmy ocaleni.

Arion spoglądał z zachwytem na Ravaela.

– Ojciec, nigdy o tym nie opowiadałeś! – stwierdził z głę-
bokim wyrzutem, mając poczucie, że ojciec skrywał przed
nim wielki skarb.

– To było dawno temu, Arionie – wtrąciła łagodnie Ilena,
lekko ganiąc wzrokiem swego brata.

Gwinto wzruszył ramionami i patrzył, jak Ravael uśmie-
cha się z wyrazem ożywionej dumy.

– Syn powinien wiedzieć o dokonaniach ojca, prawda?

– Prawda – potwierdził Tiko.

– Mieliśmy wtedy wielkie szczęście – zauważył Ravael.

Po kolacji Ilena podała pieczone jabłka nadziewane mio-
dem. Gwinto uznał, że nadszedł czas podarunków.

– Mam ze sobą kilka rzeczy – chrząknął w odbłasku ko-
minka, sięgając po spoczywający pod okiem Tika wór.

Miał coś dla każdego. Dla służących również – właściwie
spodziewał się, że zastanie ich tutaj więcej. Poczuł radość,
że może obsypać Ilenę perlami, szafirami i przejrzystymi
bursztynami, których – jak sądził – nie powstydzilyby się na-
wet królewskie córki, łącznie z poświęconą bogom, pierworod-
ną księżniczką Luminą.

Jego młodsza siostra lekko rozdziawiła usta na widok skarbów.

– Jesteś bogatym człowiekiem – stwierdziła ze zdumieniem i z podziwem, mrugając błękitnymi oczyma, które odziedziczył po niej dzieciak.

– Dorobiłem się. Mówiłem ci kiedyś, że będę bogaty. – Gwinto wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu.

Ilena z niespodziewanym, radosnym piskiem rzuciła mu się na szyję, dokładnie tak, jak robiła, gdy była małą dziewczynką. Gwinto przycisnął ją krzepko do piersi, ale ponieważ odwykł od okazywania wzruszeń, nie odezwał się więcej. Patrzył, jak Arion waży w rękach krótki, lekki miecz o ozdobnej rękojeści, jak ogląda ze wszystkich stron mały, drewniany okręt o jedwabnych żaglach, a potem unosi grzbiet przepięknie iluminowanej książki oprawionej w łuskowatą skórę. Gwinto czytywał tę księgę przez wiele wieczorów. Nosiła tytuł *Opisanie wysp i morza według Dariniusa*.

– Wuju, czy on opisał tutaj wszystkie wyspy?

Gwinto pokręcił głową.

– Nie. Tylko małą część.

– Całe szczęście. Inaczej nie byłoby już nic do odkrycia...

– To nie grozi nam jeszcze przez bardzo długi czas. Większość ludzi nie chce nic odkrywać.

– Dlaczego?

– Są tchórzami. Boją się nieznanego.

Ilena i jej służąca ze śmiechem rozwijały pasma bajecznie kolorowych wstążek i przepięknych tkanin. Gwinto wybrał solidne materiały. Takie, które mogą służyć przez lata. Nie gustował w muślinach i w jedwabiu, chociaż tych również nie zabrakło wśród podarków.

– Mam jeszcze prezent dla Ravaela – odezwał się wreszcie swoim niskim głosem. – Ale chciałbym dać mu go na osobności.

– Może przejdziemy do izby na górze? – zaproponował przyjaciel.

Reszta domowników tylko skinęła głowami. Kobiety pały bez przerwy w asyście służących, skonfundowany Tiko

siedział w rogu pokoju, a Arion sprawnie składał słowa i odczytywał kolejne akapity *Opisania wysp i morza*.

Na piętrze było kilka izb. Ravael zaprosił Gwinta do niedużego, mansardowego pokoju z oknem wychodzącym na zatokę. Na pograżonej w ciemności plaży płonęło kilka ognisk ubogich rybaków, którzy spleli sobie lepianki z moczarowej trzciny i uszczelnili je zaschniętym mułem. Przez chmury przeświecały nieliczne, zamglone gwiazdy.

Ravael zapalił parę grubych świec na glinianych podstawkach od tej, którą przyniósł z dołu, i obaj usiedli przy niedużym stoliku.

– Chciałeś ze mną porozmawiać. – W głosie Ravaela zabrzmiała nutka zaciekawienia i niepewności. – Mów zatem, o co chodzi.

Gwinto bawił się wyszczerbioną monetą. Przekładał ją między zwinnymi palcami.

– To, co powiem, musi zostać między nami. Nie jest to nic strasznego. – Gwinto wzruszył ramionami. – Ale wymaga się ode mnie zachowania tajemnicy. Na zawsze. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Również Ilena. No chyba, że się zgodzisz... Wtedy coś wymyślimy.

– Zgodzę się na co?

Gwinto rzucił mu bystre spojrzenie.

– Planuję wyprawę, Ravaelu. To będzie coś wielkiego. Większego, niż sobie wyobrażasz. Zarówno rejs, jak i łupy... Wszystko. Podróż jest dość daleka, ale wierz mi, warto się jej podjąć. – Oczy Gwinta rozpały się z wolna w miarę, jak wypowiadał kolejne słowa. Zdecydowanym gestem zacisnął pięść, łapiąc w powietrzu coś niewidzialnego. – Jeśli mi się uda, to będą nie tylko przygoda, nie tylko bogactwo... Również chwała, rozumiesz? Nasze imiona w pieśni... Sława bohaterstwa. Pokonanie lęków, pokonanie przesądów... Krok ku lepszej przyszłości dla wszystkich.

– Gwinto. – Ravael łagodnie położył dłoń na ramieniu mężczyzny. Był to cierpliwy dotyk dociekliwego lekarza. – O czym ty właściwie mówisz? Czego ode mnie oczekujesz?

Gerk odwrócił się w jego stronę i rozłożył ramiona gestem portowego kupca.

– Wszystko jest już zaplanowane! Wszystko gotowe! Załoga, statek, broń... Robiliśmy to wcześniej. Kiedyś mogłem ci ufać. Dlatego przychodzę do ciebie. Potrzebny mi jeszcze tylko zaklinacz pogody! Ktoś, kto wygładzi dla nas fale i przywoła wiatr, kiedy będzie go potrzeba. Najlepszy zaklinacz, jakiego znam. – Gwinto spojrzał wymownie w oczy Ravaela. – Ktoś, kto potrafi rozkazać sztormowi jednym zaklęciem. Człowiek godny zaufania. Obdarzony magicznym darem... Wyzuty z przesądów. Potrzeba mi ciebie, Ravaelu. Ten jeden, jedyny raz. Popłynij ze mną!

W pokoiku zapadło pełne napięcia milczenie. Z dołu, spod desek podłogi, dobiegał przytłumiony śmiech Ileny.

– Wszystko, co dziś zrobiłeś i powiedziałeś, bardzo mi schlebia, Gwinto – odezwał się z wolna Ravael. – Przypomniałeś mi o marzeniach, które mieliśmy obaj, kiedy byliśmy chłopcami. Boję się, że mnie przeceniasz. To, że osiem lat temu uciszyłem burzę...

– To był biały szkwał – przerwał z naciskiem Gerk.

– Biały szkwał... To, że zrobiłem to wtedy, nie znaczy, że mogę powtórzyć to teraz. Obaj się zmieniliśmy.

– Tego się nie zapomina. Pamiętam sztuczki, jakie robiłeś z pogodą, kiedy byliśmy dziećmi. Zmienianie kształtów chmur, poruszanie nimi... Masz to we krwi! Wiesz, ilu ludzi zabiłoby za taki dar? Przez te osiem lat poznałem paru zaklinaczy pogody. Na ogień Przedwiecznych i na krew ludzi, żaden z nich nie mógłby równać się z tobą!

– Zapominasz o czymś. Wtedy, osiem lat temu, miałem kryształ. To on spotęgował moją moc.

– Pamiętam. Zatonął w zatoce, kiedy mnie ratowałeś. Magiczny kamień po twoim starym...

– Nie mów tak o nim, Gwinto. Ten odłamek był wszystkim, co zostało mojemu ojcu po przeszło dwudziestu latach niewoli w kopalni kryształów.

Gwinto pokiwał głową.

– Nie zapomniałem o tamtym kryształach – rzekł, wstając.

Z wprawą odpiął szeroki na dwie dłonie skórzany pas nabijany ćwiekami. Pas był podwójny i skrywał mnóstwo kieszonek. Gwinto zaczął wyciągać ich zawartość przed onieśmiałym Ravaelem. Potem sięgnął po duże zawiniątko z dna worka – był to prosty, drewniany kuferek. Gerk postawił szkatułkę na środku stołu, po czym przekręcił zamek i uniósł wieko.

Ravael wstrzymał oddech. Gwintowi udzielił się jego zachwyt. Wciąż zadziwiał go to niesamowite światło. Jakby przenikało duszę.

– Za ich posiadanie grozi śmierć – wymamrotał Ravael zdrtwiałymi wargami.

– Każdemu oprócz królewskich magów – rzucił cicho Gwinto.

Na drewnianym blacie i w otwartej szkatule płonęło mnóstwo świetlnych kryształów. Wyjątkowo subtelne i jasne, o niesamowitej, utkanej pierwotną mocą strukturze, kamienie świeciły niezwykle, ruchliwym blaskiem, który zdawał się tętnić w ich wnętrzu. Światło było jak żywa istota. Płynęło w przestrzeni jak muzyka, jak coś, co dotyka zmysłów i przeszywa serce.

– Nie na darmo powiadają, że Kryształ powstał, kiedy okrzepła pierwotna, twórcza Iskra. Głęboko we wnętrzu Ziemi. Mówią, że to skamieniały płomień... – wyszeptał Ravael. – Zastygły na wieki ogień, do którego mają prawo tylko bogowie.

– Nie parzy. – Gwinto uśmiechnął się krzywo, choć jego oczy zachowały wyraz głębokiej zadumy. Siegnął po wyjątkowo piękny, seledynowy kamień i wręczył go Ravaelowi. W rękę przyjaciela kryształ rozpałił się gwałtownie. Kaskady blasku wypełniły izbę.

– Widzisz? – mruknął zdumiony Gwinto. – Wyczuwa cię... Reaguje na twoją moc. Ty mógłbyś oszukać sam siebie, Ravaelu, ale kryształ nie kłamie.

Ravael z fascynacją obracał świetlisty kamień w dłoniach. Czuł ciepło bijące od skały jak od żywej istoty. Pulsowanie mocy w opuszkach palców... Niesamowite mrowienie w dłoniach, które zaczęło ogarniać całe jego ciało... Czuł, jak szybko krąży krew, pulsują żyły. W jednej chwili ogarnął myślą całą złożoność własnego ciała, zobaczył jego przeszłe i przyszłe choroby. Nagle ujrzał swojego syna, Ariona, dorosłego, w odległej przyszłości... *Mogę wszystko* – przemknęło mu przez myśl. *Z tym kamieniem mógłbym zrobić wszystko...*

Przestraszył się własnej reakcji. Raptownie odłożył kamień do szkatuły i zamknął jej niepozorne, drewniane wieko. Opadł na krzesło, nie odrywając wzroku od pozostałych odłamków.

– Jak to możliwe? Skąd je masz? – spytał gorączkowo. – Świetlne kryształy... Powiadają, że nie sposób przedrzeć się do królewskich kopalni. Można trafić tam tylko w kajdanach... Przecież mają do nich prawo tylko król i magowie. Spotkałeś kogoś, kto przeżył, choć ośmielił się ich zdradzić?! Jakiegoś handlarza niewolników?

Gwinto przypatrzył mu się uważnie.

– Nienawidzę handlarzy niewolników. Zabijam ich. Patroszę jak ryby – zamilkł na chwilę. – Te kryształy nie pochodzą z kopalni.

– Więc skąd?!

Gwinto popatrzył za okno, na zatokę.

– Istnieją inne sposoby – mruknął tajemniczo. – Inne skarby, groty, jaskinie... Takie, które czekają na odważnych ludzi. Gotowych wyrzec moc kryształów nie drogą niewolnictwa, nie drogą tyranii i wyzysku, ale aktem szaleńczej odwagi. Jesteśmy liczni, Ravaelu. Coraz liczniejsi. Życie tutaj odcięci od świata, a nasza sława zaczyna obiegać wybrzeża Crystalum. Rośniemy w siłę. Zdobywamy kryształy własnymi rękami. Własną krwią.

Ravael zmrużył oczy, w których odbijało się światło kamieni, próbując pojąć sens tych słów. Tajemniczy ton Gerka niepokoił go coraz bardziej.

– O czym ty mówisz?

Gwinto nadal spoglądał w ciemność, ku morzu.

– Widziałem przed domem kaganek z płomieniem zapalonym na ofiarę skrzydlatym bogom – szepnął. – Moja siostra jest religijną kobietą. Wpoili jej to babka i królewski kaznodzieja. Królewscy magowie zaszczepiają nam wiarę w bogów ognia, kiedy jesteśmy dziećmi. Nasz rozum nie jest wtedy ukształtowany.

Ravael lekko wzruszył ramionami.

– Gwinto, przecież nieraz sami widzieliśmy bogów. Wyso-ko na niebie. Albo kiedy szybowali nad falami...

Gerk zawahał się.

– Mówią nam, że Przedwieczni bogowie ognia strzegą kryształów, odłamków pierwotnej Iskry. A jednocześnie sami wydrapują je z brzucha Ziemi rękami niewolników. Wiesz, czemu to robią?

Ravael mógłby udzielić mnóstwa odpowiedzi. Może właśnie dlatego, że w jego głowie zaczęło kłębić się zbyt wiele myśli, machinalnie zaprzeczył. Usłyszał niski, zapalczywy szept Gwinta.

– Magowie sami chcą stać się bogami! Powiem więcej: uważają się za bogów! Sądzą, że mają wyłączność na bogactwo, na władzę, na magię. Wiesz, co jest w tym najgorsze? Że w pewnym sensie mają rację. Nie ma różnicy między człowiekiem a bogiem. To tylko kwestia odwagi.

– Błuźnisz – stwierdził spokojnie Ravael.

– Nie tym razem. Przedwieczni... Smoki, jak ich nazywają... Oni wcale nie są bogami. To istoty strzegące kryształów. Istoty takie jak ty i ja. – Gwinto odwrócił się i chwycił przedramię Ravaela. – Śmiertelne. Stworzenia z ciała i krwi. Można je zabić.

Ravael z napięciem wpatrywał się w ogorzałą twarz swojego przyjaciela z dzieciństwa. To był ten chłopiec, z którym budował zagłówki, któremu opatrywał złamaną rękę. Starszy brat Ileny. Te same niebieskie oczy, prosty nos, hardo zaci-

śnięte usta. A jednak zmienił się. Tak bardzo się zmienił. Nie do poznania.

Ravael przez chwilę starał się odpędzić od siebie ponure olśnienie. Odegnąć je, cofnąć słowa, zamrozić myśli. Wbity w ziemię, skołowany, przełknął prawdę jak wielki, ciężki, śliski kamień, który opadł i rozgniółł mu pierś. Odsunął rękę i ze zgrozą cofnął się o krok.

– Chcesz mi powiedzieć, że te kryształ... zostały skradzione Przedwiecznym?

Gwinto powoli skinął głową.

– Co do jednego.

Ravael nie mógł w to uwierzyć. Gwinto odczekał chwilę i zaczął wyjaśniać:

– Znamy miejsca, w których żyją smoki. Skaliste wyspy pełne jaskiń. Wyspy, które są szczytami zatopionych gór z czasów, gdy Iskra dopiero okrzepła. – Jego oczy zaślnęły w półmroku jak monety na dnie mrocznej studni. – Tamte wybrzeża są wyjątkowo zdradliwe, lecz dobry żeglarz z dzielną załogą i zaklinaczem pogody zdoła przybić do nich bez szwanku. Potrzebne są miecze i harpuny z aratrańskiej stali. Znam wielorybników, którzy polują na smoki równie sprawnie jak na walenie.

Ravael przeciął ciemność rozcapierzoną dłonią.

– Przestań. Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

Gwinto ujął go za ramiona.

– Wiem, jak to brzmi. To wszystko szczerą prawdą. Mnie również było ciężko zrozumieć. Ale przekonałem się. Wiele widziałem. Długo by opowiadać. Uwierz mi, sprawiedliwość jest na wyciągnięcie ręki. Z dala od ucisku...

– Żyjemy tutaj z dala od ucisku!

– Czyżby? – Gwinto Gerk zmrużył oczy z powątpiewaniem. – Nawet jeśli, to już niedługo. Życie tu waszym małym życiem tak spokojnie tylko dlatego, że jak dotąd ludziom króla nie udało się osuszyć moczarów. Tylko one odcinają

Deltę od reszty kraju, od miejsc pogrążonych w niewolnictwie maluczkich i w rozpasanej tyranii magów. Nie wiecie, co się dzieje na innych wybrzeżach, bo nie ma tu nawet prawdziwego portu – prychnął Gerk. Było coś jątrzącego w jego tonie.

– Ty za to stałeś się bardzo światowy – odparł Ravael z nie spodziewaną złością. Zaciśnął dłoń, w której przedtem trzymał kryształ. Co się z nim dzieje? Czy to przez moc kamieni reaguje tak gwałtownie? – Tak światowy, że bez wahania mówisz o zabijaniu bogów!

– To nie bogowie, Ravaelu. Król i magowie każą nam w to wierzyć. Przedwieczni to skrzydlate, ziejące ogniem stwory, strzegące przed ludźmi kryształów równie zachłannie, jak król i jego magowie. Nasza ślepa wiara pomaga im zachować moc i bogactwo wyłącznie dla siebie.

Ravael z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Naprawdę ich zabijacie? Naprawdę w ten sposób zdobyłeś te kryształy?

– Naprawdę.

Ravaela przeszył lodowaty dreszcz. Oparł rękę o brzeg stołu, na skórze poczuł ciepło skamieniałych odłamków Iskry. Lizalo mu dłoni.

– Pomyliłeś się co do mnie, Gwinto – szepnął i skupił skołatany wzrok na bezcennych kamieniach. – Nie możesz na mnie liczyć. Nie wezmę udziału w tej wyprawie.

W izbie zawisła przytłaczająca cisza. Unoszące się w powietrzu pyłki rozbłyskiwały jak iskry krzesane zniewalającym, migotliwym blaskiem, który rozcinał ciemność wieczoru niby ostrza zawieszone między dwoma mężczyznami.

– To twoje ostatnie słowo? – spytał po chwili Gerk, trącając dłonią kapelusz.

Ravael skinął głową. Gwinto ruszył do drzwi.

– Zabierz kryształy. – Dobiegł go głos Ravaela.

– Są twoje. Tak jak mówiłem: wróciłem spłacić dług. Te kryształy za tamten, który straciłeś, gdy ratowałeś mi życie.

Ravael odwrócił się gwałtownie.

– Spłacić dług?! – wykrzyknął, nagle uniesiony gniewem.
– Ratowałem cię, bo byłeś moim przyjacielem! Ani wtedy, ani teraz nie liczyłem na żadną zapłatę! A tym bardziej nie myślałem, że zrobisz coś takiego!

– Czyli co, do stu tysięcy demonów?!

– Zjawiasz się tu po latach nie wiadomo skąd! Nie wiedzieliśmy nawet, czy żyjesz! Przychodzisz do mojego domu, dajesz podarki bliskim, a wszystko po to, by na końcu wnieść tu te przeklęte, splamione krwią kryształy! Ugościłem cię jak brata, a ty odpłacasz się herezją i bluźnierstwem! Czy naprawdę sądziłeś, że przyjmę dar okupiony krwią samych Przedwiecznych?! Dar, który bezcześci wszystko, w co wierzyłem?! Miałbym się tak zhańbić? Skalać się tą krwią?! Postradałeś zmysły, Gwinto?! Kim ty jesteś? Teraz stałeś się zabójcą bogów?!

W zwężonych oczach Gerka zapłonęły złe błyski.

– Jestem tym, kim ty zawsze bałeś się być! Miałeś dar, miałeś wszystko, lecz wolałeś gnić tutaj! Niech tak będzie! Zostań i dalej żyj sobie jak tchórz!

– Zabierz te kryształy!

– Zrób z nimi, co chcesz!

– Zabieraj je!

Ravael potężnym machnięciem zmiotł wszystko ze stołu. Ciężka szkatuła grzmotnęła o ziemię i otworzyła się – na podłogę wypadło mnóstwo mieniących się kamieni, które odskoczyły z ciężkim brzękiem we wszystkich kierunkach. Pozostałe kryształy łupnęły o deski i poturlały się z grzechotem w róg pokoju. Zostawiły na swej drodze mieniące refleksy. W tej samej chwili drzwi otwarły się na oścież, po tym jak ktoś wymierzył w nie potężne kopnięcie. Do środka wparował Tiko. Rękę zaciskał na rękojeści krzywego miecza, który wysunął ze zgrzytem z pochwy przypiętej do pasa ze stalowymi guzkami. Szeroko rozstawił stopy i ramiona. W dziwnej

mozaice mroku i światła – ożywionych, wypełzających z zakamarków cieni, które rozbiegały się we wszystkich kierunkach – zaskoczony Ravael ledwie go rozpoznał. Za to Tiko w okamgnieniu ocenił sytuację.

– Wszystko w porządku, kapitanie? – zwrócił się do Gerka, nie opuszczając miecza.

W rozedrganym od refleksów półmroku Gwinto i Ravael zmierzili się wzrokiem.

– Tak – rzucił Gerk. Wcisnął mocniej kapelusz, tak że jego twarz znowu pokrył cień. – Już wychodzimy.

Tiko przepuścił go w drzwiach i ruszył za nim marszowym krokiem.

– Kapitanie? – powtórzył szeptem Ravael, marszcząc brwi.

Kiedy dwaj żeglarze schodzili po skrzypiących schodach, w izbie na dole zapadła cisza. Kobiety, chudy służący i Arion zastygli wśród rozwiniętych tkanin, wstążek i rozrzuconych dookoła błyskotek, które lśniły ogniste w odbłasku paleniska. Arion obserwował wuja z głęboką powagą, podczas gdy twarz Ileny, nagle zgnębiona i niepewna, przypominała buzię dziecka, które nie wie, czy powinno się rozpłakać.

Gwinto podszedł do niej po prostu, objął ją szerokimi ramionami i pocałował w czubek głowy.

– Odpływam. Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy – oznajmił, przesuwając wierzchem palców po jej policzku. – Dbaj o siebie, siostrzyczko. – Potem szybko, w drodze do drzwi, pochwycił Ariona i przycisnął go do piersi. – Opiekuj się moją siostrą, chłopcze. I pamiętaj, że masz wuja – rzekł, poważnie spoglądając chłopcu w oczy, po czym mrugnął do niego porozumiewawczo.

U szczytu schodów pojawił się Ravael. Obserwował rozgrywającą się scenę w ponurym milczeniu.

– Co się stało? – spytała na jego widok Ilena. Naprawdę nie rozumiała, o co chodzi. – Możecie mi to wytłumaczyć? – skierowała to pytanie do męża, jakby nie śmiała zadać go

bratu. A może była przekonana, że i tak nie otrzyma od niego odpowiedzi. Gwinto zawsze miał swoje sekrety. Nikt nie strzegł ich równie zazdrośnie.

– Gwidon musi już nas opuścić. Wzywają go pilne sprawy – wyjaśnił Ravael znużonym tonem.

– Pilne sprawy?! – Ilena podbiegła do brata, kiedy ten masherował do drzwi. – Gwidonie... – szepnęła błagalnie, niepewnie zastępując mu drogę. – Co może być teraz ważniejsze od paru dni w rodzinnym domu? Ważniejsze... ode mnie? Nie zdążyłam ci nawet przygotować posiłku na drogę. Wędzonka, ciasto z tuvangów, marynowane gruszki... Zaczekaj chociaż godzinę!

Gwinto uciekł spojrzeniem w pustkę i potrząsnął głową.

– Nie mogę. Nie sędzę, by twój mąż sobie tego życzył.

– To również mój dom! – zawołała Ilena nad jego ramieniem do Ravaela. Zdumienie i złość zarumieniły jej policzki. Na potwierdzenie swoich słów lekko tupnęła nogą. – A Gwidon jest moim rodzonym bratem! Wyjaśnijcie mi, co się stało! – Uchwyciła się ramienia Gwinta. – Nie możesz odpłynąć w gniewie. To przynosi nieszczęście. – Próbowała błagalnym wzrokiem wykrzesać jakąś iskrę z jego obojętnego, z pozoru pustego spojrzenia. Gdy dotrzegła, że nic nie wskóra, odsunęła się i już bez nadziei zwróciła się znowu do męża: – Ravaelu! Powiedz mu! Powiedz mu, żeby został!

Ojciec Ariona zaczął wolno schodzić po schodach. W tej samej chwili Gwinto Gerk zniknął w drzwiach i tylko Tiko, zanim go dogonił, uklonił się krzywo gospodarzom.

– Wierz mi – szepnął Ravael, obejmując ciemnowłosą kobietę ramieniem, by pokonać jej nagłą oziębłość. Jej niebieskie oczy zaszyły łzami szybciej, niż tego pragnęła. Ilena potarła je piąstkami jak mała dziewczynka. – Gdybyś wiedziała, co zamierza twój brat, nie chciałabyś, żeby tu dłużej został. A zwłaszcza żeby miał kontakt z naszym synem.

Wzdrygnęła się. Razem patrzyli w ciemność nocy za przepływającym się cieniem. Nie wiedzieć czemu pomyślała, że widziała swojego brata po raz ostatni. To nagle, straszne przecucie zdławiło w niej resztki łez.

2.

Cień Gwinta Gerka rozpląnął się w nocy i w gęstniejącej mgle, która falowała w narastających podmuchach wiatru od morza. Drzwi po wyjściu gościa pozostały otwarte, jak gdyby nikt nie miał odwagi ich za nim zamknąć. Wpadające do domu powietrze miało eteryczny zapach nadciągającej burzy. To sprawiło, że Arion zapragnął wyjść na zewnątrz, żeby chłonąć wiatr i czekać na pojawienie się błyskawic.

Ich płomieniste zygzaki miały urok potęgi i niebezpieczeństwa, wprawiający chłopca w cudowną ekscytację, ale nic nie mogło się równać z dzisiejszą opowieścią wuja o ujarzmieniu białego szkwału. Ta krótka historia poruszyła całą wyobraźnię Ariona. Przez jeden straszny moment zmagał się ze sobą, czy nie wybiec za Gwintem, nie prosić go, żeby został... Po tym jak ich gość odszedł, w mniemaniu Ariona przygody już zawsze miały omijać ten kawałek świata.

Ojciec i matka stali długą chwilę w skrzypiących cicho, otwartych drzwiach. Wymieniali szeptem jakieś słowa, które – czuł to – nie były przeznaczone dla jego uszu. Wbiegł po schodach za ich plecami, bezszelestnie jak duch. Instynktownie odszukał miejsce tajemniczej kłótni, które zachowało ostatnie ślady bytności wuja, ostatnie, dalekie tchnienie przygody, o której marzyła chłopięca dusza.

Skreślił w wąski korytarz łączący izby na piętrze. O tej porze przypominał on tunel. Nieduże, mansardowe okno

na jego końcu wpuszczało noc. Gałązki drzewa lempe trzępotały o nie coraz silniej. Poniżej, na podłodze, rysowała się luna. Arion podszedł powoli. Wąska szczelina u dołu zamkniętych drzwi przy okienku jarzyła się ciepłym błękitem. Arion przestraszył się nagle, że w środku coś zajęło się ogniem. Naciśnął klamkę i stanął w progu. Zdał sobie sprawę, że dopiero po długiej chwili wypuścił z płuc powietrze. Tylko po to, żeby znowu wstrzymać oddech.

Niepewnie wszedł do środka. Pozwolił, by ogarnęła go gra światła, półcieni i rozbłysków, sączących się mieniącymi strużkami z niedomkniętej szkatuły stojącej na stole. Arion uniósł jej wieko. Światło rozlało się po izbie łagodnymi falami, dobywając z mroku kształty i barwy, jakich chłopiec nigdy nie byłby w stanie wyśnić. Arion śmiał się i chwycił je rękami. Kiedy odważył się wreszcie sięgnąć po jeden z kryształów, doznał wrażenia, że ciepłe, łaskocące iskry osiadają na jego skórze niby mnóstwo muskających go motyli. Czas się zatrzymał, gdy ważył kryształy w dłoniach, obracał je i odkładał, żeby obejrzeć znowu. Nigdy nie widział nic równie jasnego i mrocznego zarazem. Kamienie były przezroczyste jak powietrze, jak źródłana woda albo jak światło, ale ich struktura, ich oszałamiająca, wewnętrzna geometria, zapadała się sama w siebie, przełamana, w niemożliwą głębię. Gdy Arion zaglądał do wnętrza kryształu, czuł się, jak gdyby spoglądał w bezdenną studnię, otchłań tak zagadkową, że aż straszną. Chłopiec patrzył w kryształ tak długo, jak się dało, lecz w końcu musiał odwrócić wzrok, zdławiony tajemniczym, pierwotnym lękiem.

*

Nogus Peris dostrzegł z daleka ten sam blask co Arion, ale nie poczuł niczego, co w jego mniemaniu przypominałoby strach. Po prostu zastygł ze zmrużonymi, skupionymi oczyma,

jak drapieżny zwierz, który niespodziewanie zwietrzył trop, lecz jeszcze nie jest pewien, czy opłaca się za nim podążyć. Światło zamigotało nad wzburzonymi dywanami mgieł i moczarów wyziewów niczym delikatna fatamorgana. Kilku z jego ludzi, świeżo zatrudnionych, gburowatych najmitów z Delty, wykonało zaklinające gesty, sądząc najwyraźniej, że to zjawia. Za plecami Nogusa przebiegł niewyraźny szmer. Mlaskanie wielu par ciężkich butów na podmokłym podłożu ucichło.

– Duch jakiegoś topielca – zauważył ktoś w mroku i głośno splunął, wskazując ręką na nieprzeniknione bagna po jednej stronie grobli.

– Widziałem już takie duchy – rzucił Peris. – Wcale nie tak łatwo je zatopić.

Poczuł, że oczy zaczynają mu łzawić. Wiedział, że na źrenicach ma teraz odbłask nieziemskiego światła. To sprawiło w przerażenie najbliższego najmitę. Peris powstrzymał złowrogi, niecierpliwy uśmieszek i pociągnął za kołnierz wystraszonego przewodnika, drobnego, zaszczutego człowieczka, który przyświecał im z przodu osmoloną latarnią, dygocącą w jego rękę jak osika. – Żwawiej! Ruszaj się! Idziemy!

*

– Arionie!

Głos ojca, surowy, lecz zmiękczony jakimś wyrzutem lub troską, dobiegł jego uszu chwilę po tym, jak usłyszał skrzypnięcie deski w progu izby. Skrzypnięcie ostrzegło go i jednocześnie nakazało ukryć kryształ – mały odłamek, przez który obserwował morze za oknem jak przez niezwykłą soczewkę, malującą mrok nocy nieziemskimi barwami. To był nagły, prężny odruch. Silniejszy od niego. Odruch, którego chłopak sam się nie spodziewał. Prędko wsunął kryształ do mieszka z ziołami, który nosił na rzemyku na piersi. Matka kazała mu zawsze mieć woreczek przy sobie – na wszelki wypadek.

Ravael wszedł do środka, onieśmielony tym, że zastał tu syna. Podeszedł i objął chłopca ramieniem. Kryształ zaciążył na piersi Ariona. Miał ochotę cofnąć się w mrok, w róg pokoju. Zaczynały piec go końce uszu i bał się, że lada chwila pokryją się wstydliwym szkarłatem.

– Usiądźmy – szepnął Ravael, wskazując mu miejsce po drugiej stronie stolika.

Arion zajął wyplatane krzesło. Ojciec spojrzał mu w oczy i ruchem głowy wskazał leżącą między nimi szkatułę. Kipiała światłem które padając od dołu, zacieniło rysy jego twarzy i odkryło niewidoczne dotąd zmarszczki.

– Nie powinienes być jej otwierać – powiedział łagodnie. Delikatnie zamknął wieko. Pokój znów pogrążył się w ciepłym, nagim półmroku, kołysanym chybottliwymi płomykami świec.

– Dał ci je wuj Gwinto, prawda? – spytał Arion. – Mówił, że przypłynął, żeby spłacić dług.

Ravael skinął głową.

– Chciał okazać mi wdzięczność, ale zrobił to w niewłaściwy sposób.

– Niewłaściwy? Ojczy, to przecież świetlne kryształy! – Arion zamrugał błękitnymi oczyma o gęstych, brązowych rzęsach. – Nigdy nie mieliśmy nic równie cennego! Ludzie mówią, że w nich jest magia. A ty... Ty mówisz o nich tak, jakby wcale ci na nich nie zależało. To jest przecież najprawdziwszy skarb!

– Wierzę, że skarby powinno się zdobywać w uczciwy sposób, Arionie.

Zapadła głucha cisza. Chłopcu mocniej zabiło serce. Czy ojciec wie?! Wie, że on właśnie zabrał kryształ?

– Ojczy, przecież król i magowie robią z ludzi niewolników, żeby pracowali dla nich w kopalniach – zauważył z pewną dozą nieśmiałości, powodowanej tłącym się nadal wyrzutem sumienia. – Sam mówiłeś, że nie ma nic gorszego... Co niby mógłby zrobić wuj Gwinto?

Arion przestraszył się nagle urazić ojca – kogoś, kto do tej pory był autorytetem znającym odpowiedzi na wszystkie pytania. Pierwszy raz w życiu chłopiec zobaczył, że Ravael się waha. Był rozbity. Był zagubiony. Chłopiec poczuł zimną drżącą prawdę w swoim sercu. Już nie widział w tym mężczyźnie ostoji zrozumienia i wiedzy. Krótka wizyta wuja zburzyła niewzruszony mur pewności i zaufania, chroniący przed całym światem relację ojca i syna.

– Nie zrozum mnie źle, Arionie. Twój wuj to dobry człowiek. Zawsze pod maską pozorów skrywał złote serce. Twoja matka bardzo go kocha. Gwinto i ja byliśmy przyjaciółmi; takimi, jakich miewa się raz w życiu. Ale nasze drogi się rozeszły. Wybrał inne życie. Na morzu. Bardzo brakuje mi Gwidona, wiesz? Jednak przeszłości nic nie wróci.

– Powiedziałeś mu to?

– Co?

– Że ci go brakuje. Matce również. Może wtedy on odwiedzałby nas częściej. Może myśli, że o nim zapomnieliście. Albo że masz teraz nowych przyjaciół, których wolisz od niego.

Ravael uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową.

– Nigdy nie miałem takiego przyjaciela jak Gwinto.

Arion rzucił mu łobuzerski uśmiech.

– Nawet mnie? – spytał, lekko mrużąc oczy.

– Oczywiście, że nie! – zapewnił ojciec ze śmiechem, po czym wstał. – Ty to całkiem inna historia. My dwaj będziemy przyjaciółmi na zawsze. Nic nigdy nas nie rozdzieli!

Ravael przycisnął do piersi syna i chłopiec poczuł jego mocne, krzepkie ramiona oraz bijące od niego ciepło. Kiedy się od siebie odsunęli, ojciec sięgnął do stołu i otworzył niespodziewanie drewnianą szkatułę.

– Pssst... To będzie nasza tajemnica – szepnął, mrugnawszy okiem. – O świcie zamierzam wypłynąć łodzią do zatoki i zatopić w morzu ten kuferek. Ale mimo wszystko jest to

dar od twojego wuja i nie godzi się nic z niego nie zachować. Możesz wybrać jeden świetlny kryształ. Tylko jeden. Zatrzymasz go dla siebie, ale nie mów o nim nikomu w miasteczku. Ludzie bywają zazdrośni o takie rzeczy.

Arion skinął głową i przełknął ślinę.

– Obiecuję.

Wahał się długą, bardzo długą chwilę. Wyciągał kamienie i znów je odkładał. W końcu zdecydował. Kryształ był bladej żółci, o niezwykle skomplikowanej strukturze, połyskliwy. W środku zdawał się tlić ogień. Ravael skinął głową na znak aprobaty, jakby patrząc na syna, dokonywał w myślach własnego wyboru, na który sam nigdy nie potrafił się odważyć. Po chwili izbę znów ogarnęła ciemność oraz pełna namaszczenia cisza. Za oknem, w oddali, niebo rozdarła błyskawica i drobne krople deszczu uderzyły o dach. Ravael uchylił drzwi, dając znak, że powinni udać się na spoczynek. Wówczas z dołu dobiegł ich stukot, a potem skrzypnięcie drzwi i cichy, stłumiony pisk Ileny.

– To wuj Gwinto! – zawołał uradowany Arion. – Wiedziałem, że wróci! Zobaczysz, teraz wszystko sobie wyjaśnicie! – zapewnił, po czym wyprzedził ojca i pobiegł ku schodom na spotkanie wuja.

Obszerną, dolną izbę domu rozświetlały tylko tłące się palenisko oraz pojedyncze ogarki świec. Ich płomyki pochylały się w powiewie burzowego wiatru, wpadającego przez otwarte drzwi. Płócienne zasłony w oknach falowały. Gdy Arion zbiegał ze schodów, ujrzał cień matki w objęciach barczystego mężczyzny w kapturze. Ilena była odwrócona tyłem. Mężczyzna mocno przyciskał ją do swojego ciała.

– Wuju Gwinto! – zawołał Arion i podbiegł do nich.

Lodowaty głos, który dobiegł wraz podmuchem wdzierającego się wiatru, zmroził mu krew w żyłach.

– Stój!

Arion stanął w miejscu jak wryty. Nie rozumiał, o co chodzi. Czas nagle rozciągnął się w jego świadomości. Matka cofnęła

się o krok, pchnięta samą ciemnością, po czym odwróciła się gwałtownie, niczym papierowa lalka, którą omiótł lodowaty podmuch. Nadal obejmowały ją spowite czarną peleryną ramiona. Jedno z nich wykręcało jej rękę do tyłu, drugie przyciskało do szyi ostry, lśniący nóż. Miała rozkrwawione, zaczerwienione usta, jakby ktoś długo wyciskał na nich drapieżny, zwierzęcy pocałunek. Nad jej skronią tkwiła zakapturzona twarz, niczym ukryte w mroku widmo. Pod kapturem rozbłysły zimne, jarzące się oczy o niespotykanym, bladym, niemal srebrnym kolorze. Te oczy coś przypominały. Kamień. Kryształ. Taki jak ten, który skrywał w woreczku na piersi.

Ten człowiek przyszedł po mnie!

– Do środka! – zawarczał zimny głos. Brzmiał nisko i chropowato, jak rozdzierany papier.

Do domu wlewała się teraz chmara zakapturzonych ludzi w ciemnych płaszczach, pod którymi tkwiły pikowane kaftany. Ostatni z nich zaryglował wejście. Arionowi zdawało się, że śni. Nie mógł oderwać nóg od podłogi, wykręcił się więc tylko za siebie w poszukiwaniu ojca.

Zobaczył, jak Ravael, będący w połowie schodów, sięga ku ścianie po wiszący na niej płaski harpun. Powietrze rozdarł krzyk Ileny. Ktoś wycelował miecz w ojca, wyrzaskując urwaną groźbę. Zdławił ją błysk przecinający czas i przestrzeń. Jeden z ludzi z wielką siłą rzucił nożem. Niezwykle, obosieczne ostrze zawirowało w powietrzu jak kołowrotek. Przeleciało Arionowi tuż koło ucha i napełniło głowę cichym świstem, który przypominał piekielny szepot.

Chłopak nie zrozumiał, co chciała wyszeptać mu śmierć, na próżno ścigał jej gasnące słowa. Błyskawicznie odwrócił za nią głowę i zobaczył, jak nóż gładko zagłębił się w szyi ojca, ześliznął po obojczyku i zniknął po drugiej stronie.

Ravael zacharczał, unosząc drgające dłonie do rozharatanego gardła. Natychmiast zalała mu je ciepła krew. Harpun wypadł z jego ręki, ciężko zabrzęczał, załomotał na schodach.

Krew trysnęła, była świeża i jasna. Mężczyzna wywrócił oczyma. Zatoczył się i runął w dół. Bezwładnie zsunął się po kilku stopniach.

– Ojczee!!!

Arion znalazł się przy nim, nie wiedząc jak, lecz ktoś wykręcił mu ręce i mocno szarpnął go w tył. Chłopak kopał, wił się i gryzł, nie zważając na ból. Miał wrażenie, że świat zasnuła czerwonawa ciemność, że powietrze jest gęste i mętne jak stojąca woda, w której rozprzestrzenia się krew. Nie czuł nic. Nie wiedział nawet, co się dzieje. Widział tylko ojca rozwleczonego na schodach. Z jednego stopnia zaczynała ściekać szkarłatna strużka. Widział, jak Ravaelem trzęsły jeszcze słabe konwulsje, mimo że szyję rozpruł mu nóż, a ramię miał przebite nieszczęsnym harpunem. Oczy zgasły.

Jakiś cień pochylił się nad ciałem i przybliżył zabrany ze stołu kandelabr. Spojrzał na zastygłą, pokrytą plamkami krwi twarz miejscowego uzdrowiciela.

– To nie Gerk – oznajmił złym głosem, w którym obok zimnej obojętności zabrzmiało rozczarowanie. – Sprawdźcie na górze! Jazda!

– Panie, zabiliśmy nie tego człowieka – zauważył ktoś z wahaniem, podczas gdy kilku ludzi wbiegało po schodach, nie przejmując się leżącym na nich trupem. Pod kapturami Arion nie odróżniał tych wszystkich twarzy. Oprócz jednej. Tej z upiornymi oczami, które płonęły w mroku niczym dwa świetlne kryształy. To do niej należał niski głos.

– Walka z heretykami wymaga poświęceń. Bądź pewien, że król się na to godzi. Ten człowiek był jego poddanym, a ten dom jest gniazdem herezji. Nie wątp w to!

Arion zrazu nie rozumiał znaczenia tych słów. Zorientował się tylko, że matka zemdląca, a człowiek o kryształowych oczach wypuścił ją z uścisku, ułożył na podłodze i oparł o ścianę. Ilena była śmiertelnie blada, ale oddychała płytko i równomiernie. Człowiek wydający rozkazy nagle zmierzył

Ariona przenikliwym, jarzącym się spojrzeniem. Niespodziewanie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności chłopca, odpiął z ramion długą, czarną pelerynę i przykrył nią, jak całunem, zwłoki ojca. Dopiero wówczas Arion zobaczył wyraźnie znajdujące się na czarnym materiale symbole. Był tam stojący na tylnych łapach smok o podwójnie splecionym ogonie i oko, które zamiast powieki otaczało skrzydło. Znak króla i tajemnej wiedzy jedynych magów. Arion poczuł, że do końca życia nie zapomni tych symboli. Nieważne, jak długo to życie będzie trwać.

Z piętra dochodziły odgłosy wyważanych drzwi, tłuczonych naczyń i przewracanych sprzętów. Człowiek, który trzymał Ariona, skrzepował mu ręce za plecami i puścił chłopaka, reagując błyskawicznie na krótkie skinienie przywódcy grupy.

– Wygląda na to, że tylko z tobą mogę porozmawiać – oznajmił zimno Nogus Peris, przechadzając się wolno między kominkiem a stołem. Wysokie buty ze skóry łosia, które miał na nogach, były zabłocone aż po cholewy.

Arion zdał sobie sprawę, że ci ludzie musieli przedrzeć się tu przez moczary.

– Ci głupcy na górze robią tyle hałasu, że Gerku usłyszałby ich, będąc parę mil morskich od brzegu. – Peris pokręcił głową zniesmaczony. – Wiesz, o kim mówię, prawda?

Arion nie odpowiedział. Potrafił teraz myśleć tylko o nieżyjącym ojcu i o matce, która nadal nie odzyskiwała przytomności. Ci ludzie są wysłannikami króla. Nikt w miasteczku ich przed nimi nie obroni. Nikt nie ośmieli się...

– Odpowiadaj, kiedy zadaję pytania!

– Dlaczego chcesz ze mną rozmawiać, panie? – spytał Arion impulsywnie, pierwszy raz w życiu czując, jak od wewnątrz ogarnia go lodowaty płomień czystej nienawiści.

Nogus Peris patrzył na stół.

– Ponieważ twój ojciec nie żyje, a matka jest nieprzytomna. Jesteś jedyną rozsądną osobą w tym pokoju i jedyną, która

ma coś do stracenia. – Peris nieznacznie skinął głową w stronę oddychającej płytko Ileny, a Arion pojął, że w tym geście mieści się groźba tym straszliwsza, że prawie przypadkowa i nieskończenie obojętna. – Ponadto jesteś stanowczo zbyt młody, żeby kłamać. To umiejętność, którą zyskuje się z wiekiem. – Peris sięgnął po leżącą na stole książkę. Przez chwilę kartkował ją z zainteresowaniem w pomarańczowym odbłasku kominka. – Wyjątkowo rzadkie i cenne wydanie. Oprawione w skórę morskiego węża – zauważył, dotykając wypukłych łusek na grzbiecie tomu. Połyskiwały jak ciemne perły. – *Opisanie morza i wysp według Dariniusa*. Pewnie nie powiedział ci, że tylko kapitanowie królewskiej floty mają prawo posiadać to dzieło. Znajduje się na królewskim indeksie – mruknął, po czym cisnął książkę w ogień. Kurczyła się i ciemniała powoli, trzepocąc konwulsyjnie skrzydełkami wypełnionych drobnym pismem stron.

Arion patrzył, jak trawi ją płomień.

– Dlaczego?

Peris zmarszczył brwi, nie zrozumiałwszy pytania.

– Dlaczego tylko kapitanowie królewskiej floty mają prawo posiadać tę książkę? – powtórzył chłopiec.

Jego głos należał teraz do kogoś obcego. Do kogoś, kto był daleko stąd, poza nocą i strachem. Do kogoś, kto nie przyjmował lęku do wiadomości, kogo ojciec nigdy nie umarł. Arion zdziwił się tym, co powiedział. Ravael nie żył. On i matka mogli w każdej chwili zginąć, a jedyne słowa, jakie świadomie przysły mu do głowy, dotyczyły tej głupiej książki, której nawet nie zdążył dokładnie przejrzeć.

Nie mógł wiedzieć, że na Perisie wywarło to niejaki wrażenie. Był czas, że Nogus Peris ponad wszystko cenił wiedzę, a opanowanie, któremu przypisał pytanie Ariona, szczupłego chłopca klęczącego obok ciała ojca, przypomniało mu niejako coś z dawnych lat. Stare wspomnienia były jedną z wielu rzeczy, które poruszały jeszcze jego wrażliwość. Dzięki

nim Peris potrafił wciąż myśleć o sobie jak o człowieku nie całkiem pozbawionym skrupułów i serca.

– Bo tak jest lepiej – syknął zimno, grzebiąc wahanie pod lodowatą maską pychy. Nosił ją zbyt długo, zbyt uparcie dążył do celu, zbyt rzadko rozmawiał z ludźmi i wyjawiał innym swoje myśli, żeby udzielić innej odpowiedzi. – A teraz pozwól, że to ja będę zadawał pytania. Gdzie jest Gwidon Gerk?

Arion pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Obaj wiemy, że tu był, prawda? Kiedy?!

Arion niepewnie przytaknął.

– Parę dni temu – bąknął niewyraźnie. – Kiedy był przypływ.

– Kłamiesz!

Nogus Peris zacisnął palce na jego podbródku jak kleszcze.

Chłopak wytrzymał jego jarzący się wzrok. Właściwie to nie potrafił oderwać od niego oczu. Znowu poczuł przeszywającą go nienawiść. Czysty, bolesny gniew zdruzgotanej sprawiedliwości. Chłopiec, którym był aż do tego wieczora, stał gdzieś obok. Nieruchomy, niewidzialny, zapomniany.

Peris westchnął i cofnął się.

– Czego chciał?

Arion przełknął gęstą ślinę. Przeciągnął po dziąsłach językiem i poczuł smak krwi.

– On jest... był... przyjacielem mojego ojca. Znali się od dziecka. Ojciec kiedyś uratował mu życie. On... pan Gerk...

– Arion zrozumiał, że nie powinien używać słowa „wuj” – on...

– Nie musisz mówić „pan” o tym wyklętym! – zasyczał poirytowany Peris. – Czego Gerk chciał od twojego ojca?!

– Chciał mu się odwdziaczyć. Za uratowanie życia. Chciał, żeby ojciec był teraz bogatym człowiekiem. Dlatego dał mu kryształ – zamilkł.

– Nie mówił nic więcej?

Chłopiec pokręcił głową.

– Rozmawiał tylko z ojcem. Ja nic nie wiem.

– Jak długo był tutaj Gerk? – rzucił Peris coraz bardziej obojętnym tonem.

– Ciężko powiedzieć. Krótko. Parę godzin. – Arion zaczął modlić się w duchu, żeby ciemność i siąpiący coraz mocniej deszcz zatarły jak najszybciej ślady butów, które mogły pozostać na ścieżce.

Z góry zeszło po schodach paru ludzi. Jeden niósł drewnianą szkatułę, zroszoną napowietrznymi kropelkami blasku. Peris skinął, żeby postawiono ją na stole. Na długą chwilę zatonął w zadumie i z uwagą wpatrywał się w bezcenny skarb. Wszyscy w izbie spoglądali w tę samą stronę, kryjąc w sercach podziw i chciwość.

– Te kryształ są dostatecznym dowodem – oznajmił w końcu Peris bezbarwnym, zmienionym tonem. Z każdym słowem jego głos zaczynał nabierać impetu nieodwołalnego wyroku. – Człowiek, którego zabiliśmy, gościł w swoim domu heretyka. Udzielił mu tu schronienia wbrew wyraźnemu zakazowi króla! Oczyszczenie może dokonać się tylko przez ogień, najświętszy żywioł jedynych, żywych bogów. Dlatego w imieniu króla rozkazuję spalić ten dom!

– Tak jest, panie!

Ludzie Nogusa skinęli zakapturzonymi głowami. Arion spojrzał na nieprzytomną matkę. Wszystko znów działo się jak w zwolnionym tempie. Błada, pozbawiona wyrazistych rysów twarz Perisa przybliżyła się ku niemu i znów ujrzał te lodowate oczy, w których wszelkie światło załamywało się i gubiło, a potem powracało zmienione i chłodne.

– Jesteś miłym chłopcem. Myślę jednak, że mnie okłamałeś – syknął mężczyzna. – Jest sposób, żeby to sprawdzić. Jeżeli Gwinto Gerk naprawdę odpłynął stąd parę dni temu, ten dom heretyków spłonie w ciszy. Jeśli jednak mam rację i nasz przyjaciel jest jeszcze blisko brzegu, zobaczy ogień. Nawet w taką pogodę jak dziś pożar będzie widać z pewnej odległości. – Twarz Perisa stała się straszną, kamienną maską, gdy popa-

trzymał na grube, drewniane belki domu. – Jeśli więc to ja mam rację, istnieje szansa, że Gerk powróci tu, żeby cię uratować. I ja! – Skinął głową w kierunku Ileny. Na jego usta wypełzł gorzki, zwiędnięty uśmiezek. – Ludzie, którzy spędzają całe lata w osamotnieniu, są w stanie zrobić wszystko dla swojej rodziny. – Oczy maga zwęziły się lekko. Przypominały teraz ślepią węża. – Bo jesteście rodziną, prawda?

3.

Dziób łodzi rozcinał coraz silniejsze fale, które wdzierały się do zatoki. Gwinto, Warras i Tiko wiosłowali uparcie. Oddychając równo, wysilali mięśnie zahartowanych ramion. Przez ich odzież przenikała słona wilgoć, którą niesło wzburzone powietrze. Po jakimś czasie Gerk odłożył wiosła, żeby upewnić się, że trzymają dobry kurs. Wyciągnął zza pazuchy świetlny kryształ, który rozpałił się mocniejszym blaskiem. Kamień stanowił prawie idealny, półprzezroczysty sześciąt. Gwinto przetarł jego gładką powierzchnię i przyłożył go do oka.

Wciąż nie mógł się nadziwić, jak idealnie te kryształy zachowują niektóre obrazy. Nie na darmo nazywano je „słonecznymi kamieniami”. Klejnot przechowywał wewnątrz promień zachodzącego niedawno słońca, który rozdzielał się na dwie wiązki. Mężczyzna obracał kryształem, dopóki całym się one nie pokryły. Tym sposobem potrafił wyznaczyć kierunki świata z niemal doskonałą precyzją i to niezależnie od pory dnia i pogody. Kryształ był więc nie tylko drogoceennym skarbem – dla Gwinta i jemu podobnych morskich włóczęgów stanowił bezcenne narzędzie nawigacji.

Skinął do towarzyszy, wskazując skorygowany kierunek. Zapatrzył się w chłostaną wiatrem, rozszumianą ciemność fal. Gdy błyskawica oświetliła sylwetkę przybliżającego się okrętu, serce mocniej zabiło Gerkowi w piersi. Trójmasztowy, potężny szkuner o podwyższonej rufie stanowił wspaniały widok, nawet gdy stał na kotwicy przy złożonych żaglach.

Ten statek to mój jedyny dom – pomyślał Gwinto, przeciągając wiosłami z wielką siłą.

Odpędził pałace jeszcze wspomnienie wizyty w miasteczku. Wywołało jakiś tępy ból. Ta podupadająca osada w delcie Vissli była jak dająca o sobie znać stara rana, jak swędzący strup, który masz ochotę zedrzeć, choć dobrze wiesz, że zostanie po nim szpetna blizna. Ilena, Ravael... I ich dzieciak, Arion... Głupie, bezpowrotne wspomnienie! Nie chciał i nie zamierzał o nich więcej myśleć. Jego obecne życie nie ma z nimi nic wspólnego.

Nie zawsze tak było. Gerk był jeszcze smarkaczem, gdy po śmierci rodziców musiał zaopiekować się młodszą siostrą. Ciężko pracował, żeby utrzymać siebie i Ilenę. Nieraz ukrywał własną nędzę, byle tylko jej zapewnić, co tylko mógł, byle jej niczego nie brakowało. Pomimo znoju i ubóstwa uważał, że to były wspaniałe lata. To właśnie one stawały mu przed oczyma, kiedy myślał o swoim rodzinnym brzegu. Zdarzało się, że przy winie ubarwiał przeszłość opowieściami, którym inni przysłuchiwali się z zachwytem. Wspomnienia kłamią, zwłaszcza gdy jesteś daleko. Rozczarowują, jeśli próbujesz się do nich zbliżyć. Pierzchają i straszą skrywaną prawdą, jak widma strzegące zbieleńskich kości zmarłych.

Tylko jedno było prawdziwe: miłość do morza. Czy nawet swojej siostry, Ileny, Gwinto nigdy nie kochał równie mocno? Może nie aż tak, jak pokochał ją Ravael. Gdy przyjaciel poprosił o jej rękę i dwie najbliższe osoby, jakie Gerk kiedykolwiek miał, związały się ze sobą tak, że między nimi nie było już dla niego miejsca, miłość do morza zmieniła się w pałac zew. Gwinto stracił jednej nocy siostrę i przyjaciela. W zamian zyskał coś, co przynosi umiejętnie przeżywana samotność – całkowitą, nieograniczoną niczym wolność.

Nad falami poniosł się grzmot. Gwinto instynktownie odliczał w myślach, ile minęło od błyskawicy do ryknięcia burzy. Dzięki temu mógł oszacować, w jakiej odległości znajduje się jej centrum.

– Myślisz, że burza przejdzie bokiem, kapitanie? – spytał Warras, przekrzykując fale.

– Idzie prosto na nas! – wysapał Tiko między dwoma machnięciami wiosła.

– Przejdzie bokiem! Tak czy inaczej do rana przyczaimy się tu na kotwicy!

– Owszem! Marzy mi się dłuuuuugi sen! – Warras miał ochotę dodać coś o kobiecie i o misce porządnego żarcia, ale w porę ugryzł się w język. Najwyraźniej wizyta w rodzinnym domu kapitana nie udała się tak, jak Gerko tego chciał. Warras liczył na to, że Gwinto i Tiko wrócą z kosztami prowiantu i najróżniejszych przysmaków, tymczasem zjawili się z pustymi rękami, chmurni i małomówni. Cóż, takie właśnie jest życie. Warras uważał, że niewiele jest dobrych rzeczy, które mogą przydarzyć się takim jak oni na lądzie. Jedną z nich niewątpliwie było smaczne jedzenie.

Zauważono ich – z bocianiego gniazda na grotmaszcie rozbrzysnął w ciemności krótki sygnał świetlny. Gwinto odpowiedział z pomocą kryształu w ustalony sposób.

Przybliżali się do burty, chroniąc w cieniu okrętu przed wiatrem i mocniejszymi falami z otwartego morza. Z pokładu rzucono liny i drabinę, na wietrze odezwały się pozdrawiające okrzyki.

Gwinto doznał niejasnej ulgi, kiedy poczuł pod stopami deski pokładu. Ich ciche skrzypienie było jak mruczenie ulubionego kota. Jak cicha, mroczna muzyka. Cały okręt kołysał się lekko na niesionych wiatrem falach, rytmicznie, niby w takt uderzeń drewnianego serca.

W milczeniu wysłuchał krótkiego meldunku od Egrita, drugiego po nim człowieka na statku. Był on wiekowym już, brodatym mężczyzną o jednym oku zasnutym gładkim bielmem, które przypominało wprawioną w oczodół perłę. Jego spieczoną słońcem twarz znaczyła sieć głębokich zmarszczek od częstego patrzenia pod wiatr. Mimo brzemienia lat Egrit

zachowywał zwinność i nieugięty hart ducha, który tak cenił w nim Gwinto. Stary mawiał, że umrze dopiero, gdy zatonie statek. A to dlatego że nic tak nie konserwuje jak morska sól.

– Na mój gust burza przechodzi bokiem – zauważył Egrit. Gwinto przytaknął, skinąwszy głową.

– Też tak sędzę. Będę w swojej kajucie. Muszę się przespać.

Minął koło sterowe i już miał schylić głowę, żeby wejść do rufówki, kiedy poczuł na ramieniu suchą rękę starca.

– Gwinto – odezwał się ochryple sternik – co z zaklinaczem pogody? Udało ci się go zwerbować?

Gerk spojrzał w cień, gdzie w pobrużdżonej, brązowej jak orzech twarzy lśniło zbiele oko.

– Nie. Będziemy musieli znaleźć kogoś innego.

Egrit zacisnął usta i skinął głową, po czym rozstali się w progu.

Warras, który właśnie obejrzał się w ich stronę, lekko się zachmurzył. Człapał wolno w kierunku mieszczącego się w dziobowej części kubryku, kiedy w odblasku jednej z gasnących błyskawic dostrzegł na bocianim gnieździe cień kobiecej sylwetki. Aliya. Warras od długich godzin marzył o porządnym śnie, ale na jej widok postanowił odłożyć go o parę chwil. Zamruczał sam do siebie z podziwem. Imponowała mu dziwna odwaga tej dziewczyny. Były w niej bunt, jakieś uniesienie, a czasem czysta głupota... No i była przecież taka śliczna. Cokolwiek w sobie miała, Warras w głębi duszy wiedział, że nie potrafi przejść obok niej obojętnie.

Czując na twarzy podmuchy wilgotnego wiatru, wspiał się sprawnie po zwężającej się drablinie rozpiętej między waniami do bocianiego gniazda. Aliya przesunęła się bez słowa, żeby wskoczyć do środka. Zrobiło się ciasno.

– Podziwiamy gwiazdy? – Warras czuł, że jak zwykle mówi coś głupiego, co wzbudza jej bezgraniczną pogardę.

Spojrzała na niego przelotnie, unosząc głowę. Wzruszyła ramionami.

– Chciałam być sama – powiedziała. Jej kruczoczarne włosy były nasiąknięte wilgocią. Wiły się i falowały na wietrze.

– No, to jest trudne na statku. Znaczą się być samemu. Jesteśmy tu wszyscy na siebie skazani, wiesz? – Warras spróbował się uśmiechnąć, choć i tak już na niego nie patrzyła. Gdy stała obok, wydawała się jeszcze niższa. Drobną, szczupłą i tak kruchą, że Warras dziwił się, że nie porywa jej wiatr.

Bocianie gniazdo na grotmaszcie okrętu nie było dobrym miejscem na przeczekanie burzy, nawet jeśli ta się oddalała. Czuło się tutaj każdy przechył okrętu. Z oddali niosły się co jakiś czas ponure grzmoty, zagłuszające nawet ciężki szum fal przelewających się przez siebie i bijących o drewniane burty. Na horyzoncie ciemność rozciągała przypominająca trójkąt błyskawica.

– Kapitan sprowadził zaklinacza pogody? – odezwała się Aliya.

– Wróciliśmy sami. Tiko powiedział mi, że nic z tego.

– A to wszystko, co ze sobą zabrał? Kryształ, bursztyny, tkaniny?

– Zostały na lądzie.

Dziewczyna patrzyła poprzez ciemność w stronę brzegu.

– Musi bardzo kochać tę kobietę, skoro podarował jej tyle jedwabów i naszyjników.

Warras kiwnął głową.

– Ale nie powinien zostawiać kryształów – stwierdziła cicho Aliya, marszcząc swoje piękne, ciemne brwi. W uchu miała kolczyk z jasnych, spiralnie skręconych muszelek, które pobrzękiwały na wietrze jak małe dzwoneczki. – Za taką ilość mógłby nająć porządnego zaklinacza na parę lat. Opuścił nas ze skarbem, a wrócił z pustymi rękami. Te kryształy bardzo by się przydały. Naraża naszą misję z powodu głupich sentymentów. Gdyby inni kapitanowie o tym wiedzieli...

– Gwinto jest kapitanem – przerwał jej łagodnie Warras. – Robi, co chce. Miał prawo do tych kryształów. Należały do niego. Sam je zdobył, tak samo jak ten statek.

– Zdobył ten statek? – Czarnowłosa dziewczyna po raz pierwszy spojrzała na niego z zainteresowaniem. – Nie wiedziałam. Nigdy o tym nie słyszałam.

- To dlatego że nigdy o tym nie opowiada. Ale jeśli chwilę się zastanowić... Wiadomo, co zrobił i jak został kapitanem.
- Warras złapał się na tym, że mimowolnie splótł palce za plecami w zaklinający znak. – Zresztą, możesz spytać kiedyś Egrita. On pływa z Gwintem prawie od początku. Jak będzie miał ochotę, sprzeda ci niezłą opowieść.

Aliya skinęła głową.

Grzmoty coraz słabiej grały w oddali, niby cichnące kano-nady z bombard. Za to zaczęła się przesywająca chłodem mżawka. Warras szarpnął za kłame, niezgrabnie odpiął z pleców pocerowaną i krótką pelerynę, która sięgała mu ledwie kolan, żeby okryć nią ramiona swojej towarzyszki.

– Nie jest mi zimno – oświadczyła twardo Aliya, marszcząc lekko zadarty nos.

– Nie żartuj. – Warras uśmiechnął się głupawo.

– Nie żartuję. Jeśli tobie zimno, idź już. Tak jak mówiłam, chciałam pobyć sama – szepnęła, przyciskając ramiona do ciała.

Warras nie wiedział, co odpowiedzieć, więc skinął głową.

– Idę się przespać. – Jednym, potężnym susem przeskoczył bocianie gniazdo i zawisnąwszy na linach, zaczął schodzić po nich w dół jak po giętkiej drabinie.

– Warras... – Dobiegł go z góry ściszony głos dziewczyny.

– Tak? – spytał, czując, jak serce zabiło mu z nadzieją.

– Chodź do mnie, wróć!

– Wiedziałem, że nie możesz mi się oprzeć! – mruknął pod nosem, wdrapawszy się znów na maszt. Posłał jej maślane spojrzenie.

– Popatrz! Widzisz to? Coś się pali! – Nakazała mu, żeby spojrzeć przed siebie.

Rzeczywiście. Daleko, na przebiegającej ukośnie linii brzegu, ciemność zaczynała drążyć pomarańczowe płomienie, widoczne stąd jako drobne, rozmyte przez mgłę igły żaru. Rozprzestrzeniały się, roznosił je wiatr.

– To chyba pożar.

Warras zmrugał oczy.

– To w miasteczku, które dziś odwiedziliśmy z kapitanem!

Aliya zręcznie zsunęła się na siatkę z lin.

– A ty dokąd?

– Jak to dokąd?! Lecę go zawiadomić! Jeśli ktoś odkrył, że tam był, to przecież... – zawahała się. Ogarnęło ją złe przeczucie.

Warras zrozumiał.

– Ja pójdę go obudzić! – rzekł, po czym prędko zszedł w dół masztu. – A ty poszukaj Egrita. On ma lunetę!

Kiedy Warras załomotał, trochę za mocno, w drzwi kajuty kapitana, odpowiedziało mu siarczyste przekleństwo.

– Czego?! – rzucił Gerk złym głosem. Leżał w ciemności na koi, z kapeluszem spuszczonego na twarz, a jego znużony umysł zaczynał ogarniać majaki snu.

– Na brzegu zauważyliśmy ogień, kapitanie! Wygląda to na pożar w miasteczku, gdzie dziś byłeś. Znaczy się, że u rodziny... Aliya to zobaczyła... Pomyślałem, że...

Gwinto stanął w otwartych drzwiach w rozchełstanej koszuli. Ciemne, przydługie włosy opadały mu na twarz.

– Jesteś pewien? – mruknął i wyminął Warrasa, by podążyć w stronę masztu.

Z małpią zręcznością wspiał się po linach prowadzących ku najwyższemu punktowi okrętu. Lunetę o soczewkach oszlifowanych przez maga, którą nabył za niebotyczną sumę, nosił ukośnie przewieszoną przez ramię. Nie musiał jednak jej wyciągać. Na górze już czekała Aliya, która zdążyła zdobyć bezcenny przyrząd obserwacyjny Egrita.

– Proszę. – Podała mu lunetę i wskazała w kierunku brzegu. Ogień było widać gołym okiem. Gwinto chciał wiedzieć, co właściwie płonie. Mżawka i mgły sprawiały, że widoczność była bardzo zła. Tym niemniej mógł określić miejsce. Znał je. Pamiętał. Zanim przyłożył okular do oka, zmroziła go intuicyjna pewność, że to właśnie tam. Ilena, Arion, Ravael...

– Stawiać żagle! – zakrzyknął z góry ochrypłym głosem.

Warras pognął po deskach pokładu i zniknął w ciemnościach kubryku, gdzie większość załogi spędzała noc na koczach we wspólnym pomieszczeniu sypialnym.

– Ruszać się, śledzie! Jazda! Stawiać żagle!

Ludzie pozrywali się z posłań bez ociągania, w parę chwil byli na swoich stanowiskach. Życie, jakie prowadzili, nakazywało im zachowywać czujność o każdej porze. Zakotłowało się przy kabestanie.

– Dokąd płyniemy?! – zawołał z dołu Egrit.

– Do zatoki! W stronę ognia! – nakazał Gwinto. Pierwszy raz od dawna poczuł, jak oślizły, lodowaty wąż strachu oplata mu serce. – Do roboty! Jazda!

Aliya spojrzała ze zgrozą na jego wykrzywioną twarz. Gwinto nawet jej nie zauważył. W tej chwili widział tylko ogień. Odległy, płonący punkt odbijał się w jego oczach i wypełniał zwężone źrenice.

– Niech mnie morze pochłonie, jeśli to ja sprowadziłem na nich to nieszczęście! – zamruczał, zgrzytnąwszy zębami. Usłyszał, jak ze skrzypieniem i z cichym trzaskiem napinają się żagle. Po chwili poczuł, jak statek pod jego stopami wolno zrywa się z miejsca. – Niech mnie morze pochłonie!

Zakłęcie na wiatr
Copyright © Paulina Kuzawińska
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-161-1
epub ISBN 978-83-7995-162-8
mobi ISBN 978-83-7995-163-5

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Iga Wiśniewska
Korekta: Barbara Kaszubowska
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl